

Bartłomiej Gajos

Historia, która zabija

Polityka historyczna
putinowskiej Rosji

Prześwity

Bartłomiej Gajos

Historia, która zabija

**Polityka historyczna
putinowskiej Rosji**

Prześwity

SPIS TREŚCI

Wstęp	Po co i jak badać politykę historyczną	7
Rozdział 1	Ile kosztuje historia, czyli po co Kremlowi przeszłość	35
Rozdział 2	Czy Putin jest dobrym historykiem?	57
Rozdział 3	Fetysz krymski	111
Rozdział 4	Wielka Wojna Ojczyźniana, czyli jak zdekonstruować rekonstrukcję historyczną . . .	163
Rozdział 5	Gdzie leży „historyczna Rosja”?	195
Rozdział 6	Rosyjski „kompleks polski” – pół wieku później	229
Zakończenie	Historia, która zabija	259
	Przypisy	269
	Bibliografia	293



Historycy zazwyczaj piszą historie wojen. O wiele rzadziej powstają publikacje dotyczące tego, jak spreparowana wizja przeszłości prowadzi do wojny. Dlatego postanowiłem napisać książkę o politycznym wykorzystaniu historii przez rosyjską elitę. Jeśli ktoś jednak oczekuje, że będzie to spis fałszerstw i półprawd zestawionych z ustaleniami historyków, to od razu uprzedzam, że nie taki jest mój cel.

Z historią jest jak ze statystyką: ludzie kłamią na jej temat. Kłamstwo jest jednak pojęciem względnym i nader problematycznym w kontekście przeszłości. Nie tylko ze względu na toczące się co najmniej od XIX wieku dyskusje dotyczące możliwości odkrycia przez badaczy „prawdy historycznej”. Przede wszystkim dlatego, że kłamiący musi mieć świadomość, że kłamię. W przypadku wypowiedzi Władimira Putina na temat przeszłości mam jednak wątpliwości, czy prezydent Rosji spełnia ten warunek. Szczególnie kiedy mówi o roli ZSRR w trakcie II wojny światowej. Dlaczego? Postaram się to dalej wyjaśnić.

Będziemy się jeszcze długo spierać, dlaczego akurat 24 lutego 2022 roku Putin zdecydował się rozpocząć pełnowymiarową inwazję na Ukrainę, kiedy Rosja na poważnie zaczęła wojskowe przygotowania do konfliktu oraz o to, co ostatecznie skłoniło rosyjskiego przywódcę do takiej decyzji. Te dyskusje będą tym dłuższe, im dłużej będą dla nas niedostępne kremlofskie archiwa.

Piszę to z przymrużeniem oka, ale jeśli magia liczb rzeczywiście istnieje, to pierwsze dokumenty powinniśmy dostać około roku 2030. Tak się bowiem złożyło, że od 1917 roku, kiedy bolszewicy masowo ujawnili tajne carskie akta, średnio co 40 lat najpierw Związek Sowiecki, a następnie Rosja zaskakiwały nas kolejnymi otwarciem archiwów lub kontrolowanymi przeciekami. W 1956 roku był Chruszczow i jego słynny tajny referat, w którym ujawnił część prawdy na temat zbrodni stalinowskich. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się więcej o Wielkim Terrorze. Upadek ZSRR 35 lat później, w 1991 roku, sprawił, że historycy dostali taki dostęp do dokumentów, o jakim nawet nie marzyli.

Archiwalne eldorado trwało niestety krótko. Od drugiej połowy lat 90. badacze ponownie zaczęli napotykać ograniczenia. Coraz więcej teczek ponownie opatrywano klauzulą „tajne” lub informowano historyków, że są one niedostępne. W 2003 roku Rudolf Pichoja, szef rosyjskich archiwów w latach 1990–1996, oceniał, że badacze nie mieli dostępu do około 20% dokumentów proveniencji państwowej i ponad 90% dokumentów wytworzonych przez partię komunistyczną¹. Nie wynikało to jedynie z ponownego utajniania. Część dokumentacji została bezpowrotnie utracona. W okresie sowieckim popularne były „kampanie makulaturowe”, czyli masowe niszczenie dokumentów partyjnych. Na przykład w 1959 roku do utylizacji przeznaczono niemal 90 milionów teczek. Archiwalia osobiście niszczyli także dygnitarze komunistyczni. Po śmierci Stalina nad chruszczowowską daczą unosił się dym. Przyszły I sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego palił dokumenty zabrane ze stalinowskiego mieszkania na Kremlu. To tam znajdowało się archiwum VI sektora, czyli papiery Politbiura – najważniejszego sowieckiego ośrodka decyzyjnego. Chruszczow doskonale wiedział, co robi: w okresie Wielkiego Terroru sam miał unurzane ręce we krwi.

Jeśli w dzisiejszej Rosji dojdzie do zmiany systemowej, to wielce prawdopodobne, że archiwa (w większości zapewne w formie elektronicznej) dotyczące rządów Putina ponownie staną się, mam nadzieję, szeroko dostępne dla badaczy. Jego następcy w takiej sytuacji będą zapewne zainteresowani wykorzystaniem tych materiałów, by skompromitować obecny reżim i zdobyć zaufanie na arenie międzynarodowej oraz w oczach swoich obywateli. Niewykluczone także, że kolejny lider Rosji, nawet jeśli będzie pochodził z otoczenia Putina, będzie zainteresowany przynajmniej kosmetycznym zdystansowaniem się od swojego poprzednika. Wówczas również mogą się zdarzyć kontrolowane przecieki. Trzeba się jednak również liczyć z tym, że współpracownicy obecnego prezydenta zrobią – jak Chruszczow – wszystko, by kompromitujące ich dokumenty zniknęły na zawsze. Możemy mieć tylko nadzieję, że im się to nie powiedzie.

Czy w świetle powyższych trudności da się dzisiaj napisać o Rosji coś, co nie jest opatrzone zastrzeżeniem „prawdopodobne” lub „bardzo możliwe”? Uważam, że jako historycy, dziennikarze i analitycy nie pozostajemy bezbronni. W przeciwieństwie do polskich sowietologów między I a II wojną światową, takich jak Stanisław Swianiewicz i Włodzimierz Bączkowski, czy badaczy ZSRR po 1945 roku, jak George Kennan, Merle Fainsod czy Zbigniew Brzeziński, mamy nieporównywalnie większą ilość materiału do analizy. Wszystko za sprawą nie tylko gargantuicznych zasobów internetowych, ale też tego, że Rosja przez ostatnie 30 lat pozostawała – wbrew pozorom – krajem względnie otwartym dla obcokrajowców, w tym dla badaczy. Osobiście tego doświadczyłem, jeżdżąc regularnie do Moskwy, Petersburga, Tambowa i Tiumeni.

Szczególnie dobrze wspominam swoją wizytę na Syberii. W Tiumeni, w trakcie zwiedzania przeze mnie tamtejszego Muzeum Krajoznawczego, pracownica stojąca na straży ekspozycji w jednej z sal po tym, jak dowiedziała się, że jestem z Polski,

zapytała, czy nie chciałbym potrzymać w ręku zęba mamuta sprzed 30 tysięcy lat i zrobić sobie z nim zdjęcia. Jako fan paleontologii, w tym przede wszystkim dinozaurów, odpowiedziałem, że oczywiście. Ku mojemu dalszemu zdziwieniu pani wcale nie otworzyła jednej z gablot i nie wyjęła stamtąd zęba. Zamiast tego sięgnęła za firankę i podała mi leżącą na parapecie ska mielinę. Mało prawdopodobne, by podobna sytuacja była możliwa w Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku lub Londynie. Zdjęcie zrobił mi wówczas mój najlepszy kolega z Rosji. Szczęśliwie udało mu się wyjechać z kraju po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę. Należy on do grona tych Rosjan, niestety będących w mniejszości, którzy sprzeciwiają się agresywnej polityce Kremla.

W Moskwie z kolei miałem szansę mieszkać przez miesiąc w akademiku mieszczącym się w głównym budynku Moskiewskiego Państwowego Uniwersytetu (MGU), którego o wiele mniejsza kopia stoi w okolicach Dworca Centralnego w Warszawie. Mieszkając tam, czułem się jak antropolog przeprowadzający obserwację uczestniczącą. Od miejscowych dowiedziałem się, że ostatni remont tego gmachu miał miejsce w związku z organizacją Letnich Igrzysk Olimpijskich w Moskwie w 1980 roku. Dotykałem mebli pamiętających czasy późnego Leonida Breżniewa. Jeśli starożytni Egipcjanie opanowali do perfekcji mumifikację ciała, to rozwinięty socjalizm osiągnął mistrzostwo w konserwacji zapachu. Przypuszczam, że woń zakłeta w tapicerce wersalki była uniwersalna: tak musiały pachnieć wszystkie pokoje w Związku Sowieckim, włącznie z tym I sekretarza.

Całość miała w sobie coś z mistycznego doświadczenia pomieszanego z uczestnictwem w rekonstrukcji historycznej. Utwierdzała mnie w tym obecność na każdym piętrze tak zwanej dyżurnej, czyli pani siedzącej za biurkiem i pilnującej porządku. Wnętrza budynku – poza tym, że przestarzałe – były niepraktyczne i przesadzone w swoim monumentalizmie. Ale nie

budowano ich dla mnie: człowieka urodzonego rok po upadku ZSRR i dorastającego w kraju, który chciał jak najszybciej wyrwać się z socrealizmu i zaadaptować to, co z niego zostało, do współczesności. Gmach MGU musiał robić ogromne wrażenie na studentach przyjeżdżających na studia z sowieckich wsi – takich jak na przykład Michaił Gorbaczow. Musimy pamiętać, że mieszkali oni w drewnianych domach, a toalety, w jakie wyposażone jest dzisiaj każde mieszkanie w bloku w Rosji, stanowiły rzadki luksus. Ich reakcja na widok budynku liczącego 36 pięter musiała być mniej więcej taka, jak my zareagowaliśmy na możliwości, jakie daje nam ChatGPT.

Z tego pobytu w Moskwie zapamiętałem także skrzywienie na twarzy jednego z profesorów historii, uznanego specjalisty zajmującego się naszym regionem świata. Grymas wywołało jedno ze słów, których użyłem, pytając go, jak wyglądają polsko-rosyjskie relacje uniwersyteckie po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 roku. Chodziło oczywiście o „aneksję” oznaczającą nielegalne zagarnięcie siłą terytorium innego państwa. Mój rozmówca był – i jak sądzę, pozostaje – zwolennikiem teorii „wossojedinienia”, czyli ponownego zjednoczenia półwyspu z Rosją. Oczywiście pokojowego i dokonanego zgodnie ze znanymi tylko jemu zasadami prawa międzynarodowego i dobrego obyczaju.

Tego rodzaju częste wizyty w Rosji pozwoliły mi na lepsze poznanie naszego wschodniego sąsiada i uzupełnienie wiedzy zapisanej w książkach. Nie byłem oczywiście przez ostatnie 30 lat jedyń w swoich podróżach. Jeździli też inni. W tym czasie powstała także liczba publikacji nie do ogarnięcia przez jednego człowieka. Dzięki temu wszystkiemu wciąż możemy analizować Rosję, jej społeczeństwo i politykę. Co więcej, po 24 lutego 2022 roku Rosja nie stała się Koreą Północną czy Albanią z okresu komunistycznego dyktatora Envera Hodży – niemalże w pełni odizolowanym krajem, który wydaje tylko oficjalne rządowe komunikaty. Rosyjscy politycy nie zamilkli, propaganda

tego kraju działa pełną parą, a społeczeństwo, w tym nieliczna garstka tych, którzy są przeciwko, nie milczy. Dostęp do rosyjskich elit, sądząc po pojawiających się od czasu do czasu przeciekach w prasie, również nie został utracony.

Za takie materiały z pewnością wiele by dali jedni z pierwszych odwiedzających Rosję w okresie nowożytnym, gdy ta była dla nich równie egzotyczna jak Indie czy Ameryka Północna, tacy jak: Siegmund von Herberstein – poseł Świętego Cesarstwa Rzymskiego do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego w XVI wieku, tajemniczy Francuz Foy de la Neuville opisujący Rosję końca wieku XVII czy Cornelius de Bruyn – holenderski podróżnik, który pozostawił po sobie opis architektury Moskwy początku XVIII wieku. Autorzy Harwardzkiego Projektu o Sowieckim Systemie Społecznym (The Harvard Project on the Soviet Social System), chcący dowiedzieć się czegoś o opinii publicznej w Związku Sowieckim po II wojnie światowej, daliby wiele za możliwość dostępu do badań opinii publicznej, artykułów prasowych, książek, wpisów w mediach społecznościowych czy wywiadów, jakimi dysponujemy dzisiaj. Wszystkie wspomniane materiały były dla mnie najważniejszymi źródłami, jakie wykorzystałem w książce. Ale to nie wszystko.

Postanowiłem porozmawiać także z osobami, które miały bezpośredni kontakt z ludźmi tworzącymi system putinowski lub miały szansę spotkać prezydenta Rosji. Dlatego w książce znalazły się wypowiedzi następujących postaci: doktora Sławomira Dębskiego – wieloletniego dyrektora Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, członka Polsko-Rosyjskiej Grupy ds. Trudnych, obecnie współprowadzącego program Ground Zero w Kanale Zero, doktor Evelyn Farkas – zastępczyni asystenta Sekretarza Obrony ds. Rosji, Ukrainy i Eurazji w administracji Baracka Obamy (2012–2015), a obecnie dyrektorki Instytutu McCaina, profesora Adama Daniela Rotfelda – ministra spraw zagranicznych Polski (2005) i przewodniczącego Polsko-Rosyjskiej Grupy

ds. Trudnych (2008–2015), Andrija Deszczycy – ministra spraw zagranicznych Ukrainy w 2014 roku i późniejszego ambasadora Ukrainy w Polsce (2014–2022), Pawła Klimkina – ministra spraw zagranicznych Ukrainy (2014–2019), Roberta Pszczela – dyrektora Biura Informacji NATO w Moskwie (2010–2015), Dana Frieda – ambasadora USA w Polsce (1997–2000) oraz późniejszego Koordynatora ds. Polityki Sankcyjnej w administracji Obamy w związku z aneksją Krymu przez Rosję (2013–2017), Hannu Himanena – ambasadora Finlandii w Rosji (2012–2016), Michela Duclos – francuskiego dyplomaty z bogatym portfolio, obecnie analityka Instytutu Montaigne, który pracował we francuskiej ambasadzie w Moskwie w latach 1987–1991 oraz sir Lauriego Bristowa – ambasadora Wielkiej Brytanii w Rosji w latach 2016–2020. Pytałem ich przede wszystkim o to, czy w ich licznych kontaktach z Rosjanami miały miejsce sytuacje, gdy rosyjscy rozmówcy używali historycznych argumentów, by przekonać ich do swojego punktu widzenia. Interesowała mnie także ich recepcja i to, co sami uważają o polityce historycznej Kremla. Ich wypowiedzi – często pełne barwnych anegdot – są znakomitą ilustracją, że przeszłość odgrywa istotną rolę w bieżących relacjach międzynarodowych. Lista osób, z którymi chciałem porozmawiać, była oczywiście zdecydowanie dłuższa, niestety nie do wszystkich zdołałem dotrzeć.

Zacząłem wstęp od historii, bo też o tym będzie ta książka. Interesuje mnie przede wszystkim to, jaką wersję przeszłości kultuwyje rosyjska elita i jak wiara w tę przeszłość popychała ją w kierunku rozpętania największego konfliktu zbrojnego w Europie od czasów II wojny światowej. Piszę o trudnej relacji pomiędzy historią jako dyscypliną naukową, która stawia sobie za cel – mimo wszystkich ludzkich ułomności – zrekonstruowanie przeszłości i odpowiedzenie na pytanie, dlaczego coś się wydarzyło, a tym, co badacze nazywają pamięcią zbiorową i polityką historyczną.

Moja książka ma jeden nadrzędny cel. Chciałbym nią zwrócić uwagę, że historia to – wbrew pozorom – rzecz śmiertelnie poważna. Szczególnie w rękach polityków. Te słowa w Polsce, gdzie jesteśmy bardzo wyczuleni na to, co się mówi o przeszłości, brzmią jak banał. Jednak moje doświadczenie rozmawiania o polityce historycznej Rosji poza granicami naszego kraju uzmysłowiło mi, że ten pogląd nie jest powszechny.

Powinniśmy być bardzo uważni, co i w jaki sposób o przeszłości mówią liderzy państw. Za tymi słowami kryją się konkretne polityczne intencje i marzenia. Rozszyfrowanie tych intencji i marzeń powinno być z kolei pierwszym odruchem badaczy i analityków. Ustalenie tego, czy te wypowiedzi są zgodne z ustaleniami profesjonalnych historyków, jest natomiast kwestią pomocniczą. Nie powinno jednak stanowić celu samego w sobie, jeśli jesteśmy oczywiście zainteresowani badaniem polityki historycznej, a nie sporządzaniem katalogu historycznych błędów.

Pamięć zbiorowa

Co rozumiem pod pojęciami „pamięć zbiorowa” i „polityka historyczna”?

Pierwsze z nich doczekało się ogromnej liczby definicji. Nie raz wzajemnie się wykluczających. Gdyby je wszystkie zebrać i wydrukować, to pewnie niewiele brakowałoby im do objętości 56 tomów *Dzieł wszystkich Włodzimierza Lenina*².

Nie chcąc zatem nikogo zanudzać sporami pomiędzy naukowcami, które potrafią być niemniej emocjonujące niż awantura w mediach społecznościowych, odwołam się do słów rosyjskiego poety Antona Czechowa. Zapisał on swego czasu, że: „To, w co człowiek wierzy, istnieje”³. Z pamięcią zbiorową jest bardzo podobnie: to nic innego jak wiara ludzi, że coś się rzeczywiście

w przeszłości wydarzyło. Dlatego bardzo często więcej w niej irracjonalizmu niż racjonalizmu.

Chcąc najprościej przekazać, co mam na myśli, posłużę się przykładem. Manifestacją pamięci zbiorowej jest przekonanie większości Polaków, że na banknocie dziesięciozłotowym znajduje się faktyczna podobizna pierwszego historycznego władcy Polan Mieszka I. W rzeczywistości jednak jest to jedynie wytwór wyobraźni artysty tworzącego banknotowe grafiki. Nie dysponujemy bowiem żadnym źródłem historycznym z X wieku, na którym znajdowałby się portret ojca Bolesława Chrobrego. Ba! Sam fakt rozpoznania przez Polaków księcia Polan jest już manifestacją pamięci zbiorowej. Mało prawdopodobne, by Amerykanin, Australijczyk, Chińczyk czy Nigeryjczyk byli w stanie zidentyfikować brodatego mężczyznę jako Mieszka I.

Dlatego tak ważny jest występujący obok słowa „pamięć” przymiotnik „zbiorowa”. Sugeruje on, że dzięki znajomości tej postaci mamy ze sobą – jako Polacy – coś wspólnego, co pomaga nam istnieć jako naród, czyli zbiorowość. W przypadku Rosji i wojny, którą rozpętała na pełną skalę w 2022 roku, jednym z przejawów pamięci zbiorowej, choć mającym kompletnie inne znaczenie i funkcje, jest przekonanie, że Chruszczow rzekomo samodzielnie podarował Ukrainińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej Krym w 1954 roku.

Jak to się dzieje, że ludzie do pewnych wizji przeszłości – często sprzecznych z naukowymi ustaleniami – dają się zbiorowo przekonać, a inne wizje odrzucają? Kto lub co ich do tego przekonuje? To najczęstsze pytania zadawane przez przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych zajmujących się badaniami nad pamięcią (*Memory Studies*).

Kluczowym założeniem jest to, że poza naszą indywidualną możliwością zapamiętywania, zależną od kwestii biologicznych i mózgu, istnieje druga pamięć. Jest ona nazywana najczęściej zbiorową lub społeczną, dlatego że jej powstawanie (czasownik

w tej formie nie jest przypadkiem, to ciągły proces!) warunkowane jest wpływem społeczeństwa i uczestnictwem w naszym życiu społecznym. Jest ona aktualizowana pod wpływem bieżących wydarzeń. Bez niej każdy z nas przypominałby zapewne Kaspara Hausera, czyli postać, która pojawiła się nagle na ulicach Norymbergi w 1828 roku i która przez ostatnie 16 lat swojego życia egzystowała w odosobnieniu, zamknięta w małej celi. Nie znał on żadnych konwencji społecznych, obca była mu religia czy kultura. Nie potrafił czytać ani pisać. Był niedostosowany do żadnych norm. Nie znał historii i nie posiadał pamięci zbiorowej, bo też nie był członkiem żadnej zbiorowości. Ofiara przemocy i najprawdopodobniej chory umysłowo Hauser stał się mitem, największą zagadką XIX wieku i wdzięcznym dla psychologów przykładem tego, jak wielką rolę w ukształtowaniu człowieka ma społeczeństwo. Co to jednak znaczy, że Hauser nie miał pamięci zbiorowej?

Spółeczeństwo według najprostszej definicji jest zbiorem ludzi mających ze sobą coś wspólnego. Wspólny może być język, kultura, zamieszkiwane terytorium. Wspólne może być także wyobrażenie o losie historycznym społeczeństwa czy wspólnoty, do której dany człowiek należy. To wszystko z kolei tworzy zestaw cech, które w takiej czy innej konfiguracji znajdziemy w każdym encyklopedycznym opisie hasła „naród”. Naród, mający genealogię sięgającą czasów średniowiecznych, w swojej nowoczesnej, demokratycznej formie zaczął się rodzić w XIX wieku. Jednym z jego kluczowych założeń było podważenie istniejącego od czasów średniowiecza społeczeństwa klasowego, czyli takiego, w którym chłop wedle prawa mógł mniej niż szlachcic. Zwolennicy idei narodowej głosili rzecz rewolucyjną: wszyscy przynależni do tego samego narodu są wobec siebie równi. Do tego odwoływało się słynne hasło francuskiej rewolucji 1789 roku: „Wolność, równość, braterstwo” (*Liberté, égalité, fraternité*). Idea narodowa stawała się synonimem równości.

Dlatego też wszystkie ówczesne monarchie, włącznie z rosyjską, nie przepadały za tym hasłem. W imperialnej Rosji spapugowano francuskie hasło i zaadaptowano do tamtejszych warunków. Slogan ukuty przez ministra oświaty Siergieja Uwarowa brzmiał: „Prawosławie, samodzierżawie i narodność”⁴. Drugie z tych słów odnosiło się w największym skrócie do nieograniczonej władzy cara. Z kolei ostatnie – narodność – trudno przetłumaczyć na polski. Zostało wymyślone przez Piotra Wiaziemskiego, rosyjskiego urzędnika, pisarza i intelektualistę zafascynowanego Polską, który część swojego życia spędził w Warszawie. Była to próba pogodzenia dawnych monarchicznych porządków z nastaniem ery nowoczesnych narodów. *Narodność* stanowiła wyobrażenie wspólnoty poddanej samodzierżcy – carowi. Łączyło w sobie dwa francuskie słowa: *populaire* – to, co ludowe, w przypadku Rosji odnoszące się do chłopów jako kluczowej podstawy władzy samodzierżcy; oraz *national*, czyli to, co narodowe – właściwe wszystkim poddanym cara niezależnie od statusu. Ta wspólnota miała być podporą jego rządów. Im jednak dłużej trwał wiek XIX, tym bardziej przedstawiciele tych wspólnot zaczęli się domagać realizacji narodowych interesów, czyli wpływu na politykę. Jednocześnie im dalej w XIX stulecie, tym częściej sam carat dostrzegał siłę idei narodowej i sięgał po nacjonalistyczną, wielkoruską retorykę⁵.

W związku z popularnością idei narodowej w XIX wieku pojawił się ogromny popyt na przeszłość. Każdy naród jej potrzebował z dwóch powodów. Po pierwsze po to, by lepiej zintegrować wspólnotę postrzeganą jako narodową i wytworzyć więź pomiędzy ludźmi, którzy osobiście się nie znają. Drugi cel wynikał z prostej logiki: skoro naród istnieje w teraźniejszości, to musiał także istnieć w przeszłości. Gdyby nie posiadał przeszłości, to nie byłoby go w teraźniejszości. Innymi słowy: przeszłość służyła jako usprawiedliwienie istnienia narodu tu i teraz. Z tej logiki wynikała z kolei ogromna presja i pragnienie stworzenia

genealogii narodowych sięgających jak najgłębiej w przeszłość. Do tego niejednokrotnie przykładali rękę historycy, tworząc często nieistniejące historyczne byty. Przykładem tego jest Nikołaj Karamzin. Jeden z najważniejszych rosyjskich historyków XIX wieku w swoim najważniejszym dziele *Historia państwa rosyjskiego* dokonał manipulacji, której celem było podkreślenie długowieczności państwa rosyjskiego. Według niego książę Oleg (845–912) miał na brzegu Dniepru, w miejscu, gdzie założono Kijów, powiedzieć: „To będzie matka grodów rosyjskich!”⁶. W latopisie, który rosyjski badacz doskonale znał, jego autor nie użył jednak słowa „rosyjskich”, lecz „ruskich”. Słowo to odnosiło się do Rusi, a nie do Rosji. Choć Karamzina – jako wiernego sługę cara – interesowało państwo oraz monarchia i trudno go uznać za zwolennika idei narodowej z krwi i kości, to ugruntowane przez niego przeświadczenie o tysiącletniej państwowości rosyjskiej stało się jednym z najistotniejszych składników rosyjskiej idei narodowej.

Książki tego historyka i podobnych jemu badaczy w innych krajach mogły czytać jednak tylko elity. Wszystko z powodu bariery: większość społeczeństwa w XIX wieku stanowili niepiśmienni chłopci. Można ją było przewyciężyć jedynie przez bezpośredni kontakt i wyjaśnianie, że są Polakami, Francuzami, Czechami, Węgrami, Rosjanami, ponieważ mówią mniej więcej tym samym językiem i posiadają wspólną narodową genealogię. Wykorzystywano przy tym bardzo różne metody. Bardzo istotną rolę odegrało malarstwo. By łatwiej sobie wyobrazić przodków, zaczęto ich po prostu przedstawiać na płótnie. Stąd między innymi kultowa w Polsce rola Jana Matejki.

Drugim i zdecydowanie skuteczniejszym sposobem przekonywania do danej idei narodowej okazała się jednak powszechna szkoła i armia. W ten sposób zaczęła się pojawiać sieć wyobrażeń o przeszłości, która łączyła ludność odczuwającą przynależność do danej wspólnoty narodowej⁷. Tę sieć nazywamy właśnie pamięcią zbiorową.

Historia w rękach polityków potrafi stać się narzędziem zbrodni. Nie dlatego, że sama zabija – ale dlatego, że potrafi nadawać sens zabijaniu

Autor pokazuje, jak współczesna rosyjska elita polityczna konstruuje własny historyczny świat dogmatów, mitów i uzasadnień – i skąd biorą się idee, które pozwalają Kremlovi przedstawiać agresję jako „sprawiedliwość dziejową”, podboje jako „odzyskiwanie historycznych ziem”, a przemoc jako „naprawianie krzywd”.

Książka odśladania mechanikę działania rosyjskiej polityki historycznej: od narracji dotyczących Krymu, Ukrainy i Polski, przez genealogię imperialnego myślenia, aż po analizę tego, jak powstają teksty historyczne publikowane przez Kancelarię Prezydenta Federacji Rosyjskiej – dokumenty, które później stają się podstawą propagandy i edukacji oraz uzasadnieniem zbrojnych działań.

To opowieść o tym, jak historia stała się częścią systemu, dla którego przemoc jest naturalną metodą działania

Patronat:



UKŁAD SIŁ



Centrum
Mieroszewskiego



POLIHISTOR 2.0

Książka dostępna także jako e-book.

ISBN 978-83-8175-795-9



9 788381 757959 >

Cena 64,90 zł

P20263010

wydawnictwoprzeswity.pl